

Co stoi na przeszkodzie rzeczywistego partnerstwa Rosji i Iranu?

28 lutego 2015

W związku z zaostrzeniem sytuacji międzynarodowej wywołanym aneksją Krymu przez Rosję, a następnie wojną na południowym wschodzie Ukrainy, wielu ekspertów zaczęło mówić o konieczności wszechstronnego partnerstwa między Teheranem i Moskwą.

Rzeczywiście, w warunkach zachodnich sankcji, z którymi Iran boryka się już wiele lat, a Rosja kilka ostatnich miesięcy, wydaje się naturalne, że oba kraje, które system światowy umieszcza w rzędzie krajów zbójceckich, powinny w końcu zbliżyć się do siebie i zrozumieć, że dzielą wspólny los polityczny. Powinny stworzyć przynajmniej sojuszniczy tandem, który stanie na drodze zachodniemu (czytaj: amerykańskiemu) hegemonizmowi.

Od dawna prowadzone są rozmowy o partnerstwie politycznym Chin i Rosji. Zaczęły się one na długo przed wydarzeniami na Krymie i wprowadzeniem sankcji. Dołączenie Iranu, zdaniem większości ekspertów (jeśli nie liczyć wąskiej grupy, która już dawno lobbowała za tym zbliżeniem) to konsekwencja zrozumienia całej powagi sytuacji, w której znalazła się dziś Rosja.

Cechą charakterystyczną tego odwoływania się do zdrowego rozsądku przywództwa obu krajów, który dyktuje konieczność takiego zbliżenia, jest nuta pesymizmu, i to coraz wyraźniejszego. Na drodze takiego sojuszu były w przeszłości przeszkody, wydaje się, oczywiste dla wszystkich obserwatorów. Jednak korzenie tych przeszkód sięgają głębiej, niż zła wola jakichś prozachodnich liberałów w establishmencie obu krajów, co widać choćby po fałszerstwach i przeinaczeniach, które towarzyszą analitycznym artykułom na ten temat.

Tak więc typowym chwytem mającym zmylić opinię publiczną stało się fałszowanie kwestii zerwania dostaw rosyjskich rakiet S-300 do Iranu, która wędruje od tekstu do tekstu, od wystąpienia do wystąpienia. Ludziom sugeruje się, że za odmową wypełnienia przez Rosję swoich zobowiązań na dostawę tego systemu obrony przeciwlotniczej do Iranu, stoi były prezydent Federacji Rosyjskiej Dmitrij Miedwiediew. Jakoby będąc posłusznym swoim prozachodnim wytycznym ideologicznym, zablokował umowę, pomimo że nie była sprzeczna z formatem sankcji nałożonych na Iran przez Radę Bezpieczeństwa ONZ. Obwinianie Miedwiediewa, wzmocnione psychologicznie staje się jakby bardziej wiarygodne w świetle tego, że właśnie za prezydentury Miedwiediewa Moskwa „wydała” Kaddafiego Zachodowi.

Jednak w rzeczywistości wypełnienie umowy na S-300 między Rosją i Iranem wstrzymał Putin w ostatni dzień swojej prezydentury. Fakt ten rzuca zupełnie nowe światło na prawdziwy charakter stosunków między oboma krajami, szczególnie gdy wziąć pod uwagę, że Władimir Władimirowicz wrócił na fotel prezydenta przejmując od samego siebie historię stosunków z Iranem z poprzedniej kadencji.

Oczywiście w ciągu minionych dziesięcioleci, po rozpadzie ZSRR, fasada tych stosunków bardzo się zmieniła. Był taki czas w epoce „kozyriewowskiej dyplomacji”, kiedy słowo „Iran” było obelżywe w kręgach rosyjskiego establishmentu. Nawet przypadkowe pozytywne materiały o Islamskiej Republice Iranu na kanałach rosyjskiej telewizji były powodem do skandalu i zwolnień pracowników...

Dziś obraz stosunków między Moskwą i Teheranem różni się jaskrawo od tego, co było w latach 90. I oto pytanie: w jakim stopniu mowa jest o zmianach dotyczących właśnie fasady? Gdzie kończy się optymistyczna retoryka, a zaczynają się surowe realia polityczne? Aby odpowiedzieć na to pytanie, trzeba przede wszystkim odrzucić nagromadzone wokół tematyki rosyjsko-irańskiej przekłamania.

Wielu ekspertów co jakiś czas podnosi kwestię możliwego wejścia Iranu w skład Szanghajskiej Organizacji Współpracy (SOW). Pełni krytycznego zacierzewienia wskazują, że Iran powinien dawno zająć swoje miejsce w tej organizacji, porzucając poniżający status „obserwatora”. Dlaczego do tej pory to się nie stało? W próbach wyjaśnienia tego faktu czasem pojawiają się aluzje do pewnego państwa, które miało „zatarasować drogę do przyjęcia Iranu do SOW”. Ktoś nawet uważa, że takim państwem jest Kazachstan...

Naprawdę jednak sytuacja wygląda inaczej. SOW nieprzypadkowo wzięła nazwę od miasta chińskiego, a nie na przykład, od rosyjskiego czy kazachskiego. Szanghajska Organizacja Współpracy to związek krajów utworzony z inicjatywy Chin i to Chiny są w nim najważniejsze. Początkowo cel Chin był ściśle pragmatyczny: otwarcie dla siebie wolnego rynku, by mieć możliwość zalania tanimi towarami krajów wchodzących w skład SOW. Oznaczałoby to krach gospodarki tych krajów, w tym i Rosji. Rosja się na to nie zgodziła i Chińczycy, straciwszy zainteresowanie SOW, zaczęli pracować nad innymi projektami w rodzaju „Nowego Szlaku Jedwabnego”. Żadnego celu wojskowo-obronnego Szanghajska Organizacja nie ma, nie jest antytezą NATO. Jednak właśnie Chiny kategorycznie sprzeciwiają się wejściu Iranu do SOW, gdyż wtedy polityczna treść tej organizacji zmieniłaby się dramatycznie.

Po pierwsze, członkostwo Iranu w SOW wzmocniłoby pozycję Moskwy w przestrzeni eurazjatyckiej, a to Pekinowi zupełnie nie jest potrzebne. Potrzebna jest za to słaba, odizolowana Rosja „czekająca na zmiłowanie natury”, czyli od przywództwa Chin. I drugi aspekt: pojawienie się Iranu jako nowego, naprawdę silnego gracza w SOW, faktycznie pozbawiłoby Chiny wiodącej roli w tej obecnie całkowicie formalnej strukturze.

Tak wygląda sytuacja z punktu widzenia Chin. A jak wygląda ze strony Moskwy? Spróbujmy odpowiedzieć na takie pytanie: czy dzisiejsza Rosja ma sojuszników?

Politologowie rosyjscy, ale i sami politycy także, mówią o „partnerach” Federacji Rosyjskiej, którym przedstawiają takie czy inne roszczenia. Zauważmy, że wszyscy ci „partnerzy” znajdują się w ścisłym „kręgu wybranych” – to przede wszystkim USA i „stara” Europa! Ani Kuba, ani Wenezuela, ani tym bardziej jakiś kraj azjatycki do wysokiego statusu „partnera Rosji” nie dorosły...

Jednakże „partner” to oczywiście nie sojusznik. Na temat sojuszników istnieje pewien żart... Brak sojuszników uważa się nawet za oznakę szczególnej geopolitycznej wielkości...

Tym niemniej, taki sojusznik istnieje! I jest nim bezsprzecznie Izrael. Kreml nigdy nie ukrywał szczególnych stosunków z syjonistycznym państwem. Krasomówcze odniesienia do „naszych krajan” w Izraelu, rola Żydów w tworzeniu projektu „Russkij mir”, i w końcu wyzywający brak udziału Izraela w zachodnich sankcjach antyrosyjskich – to wszystko detale, ale składają się one na prawdziwy obraz. Po likwidacji partiokratycznego reżimu w byłym ZSRR, nowa, liberalna Rosja i państwo syjonistyczne stały się nie tylko „partnerami”, ale i sojusznikami, do tego tak bliskimi, jakich ZSRR nie miał w ciągu całej swojej historii!

Oprócz powyższych przesłanek historycznych jest jeszcze jeden aspekt tej przyjaźni: osobista przyjaźń Władimira Putina i Bibi Netanjahu.

Może się to komuś wydać dziwne – przecież Rosja tradycyjnie utrzymuje stosunki z Palestyńczykami, a nawet zdarzało się, że oficjalnie przyjmowała działaczy Hamasu. Jednakże, jeśli przyjrzeć się roli, jaką odgrywała od chwili ustanowienia stosunków dyplomatycznych z Izraelem w procesie regulacji kwestii Bliskiego Wschodu, wszystko staje się jasne. Rosja funkcjonalnie wypełniała te kierunki, na których USA i Unia Europejska ze względu na różne okoliczności nie mogły pracować efektywnie. A dokładniej, brała na siebie te kontakty z Hamasem, które były tabu dla Departamentu Stanu USA i resortów

polityki zagranicznej Unii.

S. Ławrow jednym zdaniem ujawnił cały wymiar politycznego zaangażowania współczesnej Rosji w temat syjonistyczny. W czasie niedawnej wizyty Awigdora Liebermana w Federacji Rosyjskiej szef dyplomacji rosyjskiej powiedział, że bezpieczeństwo Izraela nie powinno doznać uszczerbku przez jakiekolwiek porozumienia w sprawie irańskiego programu jądrowego.

Ta uwaga Ławrowa rzekomo wywołała szok i rozczarowanie w politycznych kręgach Teheranu. Są podstawy, by wątpić w stopień zaskoczenia Iranu takim stanowiskiem rosyjskiego MSZ. Przywództwo Iranu nie jest naiwne, doskonale rozumie wszystkie niuanse cynicznej dialektyki Realpolitik, na której opiera się bliskowschodnia gra Kremla.

Dla Iranu temat palestyński ma fundamentalne znaczenie. To bilet wstępu klerykalnego przywództwa do wielkiego świata islamu, a szczególnie do jego części arabskiej z właściwą jej wielowiekową nadwrażliwością odnośnie „czynnika perskiego”. Właśnie dlatego od samego początku rewolucji islamskiej imam Chomeini obrał Al-Kuds i kwestię palestyńską za sprawę zasadniczą, wokół której budowana jest cała polityka zagraniczna Islamskiej Republiki Iranu. Tak, jak dla Republikanów w USA wierność Izraelowi ma quasi-religijny charakter, który określa ich przynależność do „tych dobrych”, tak samo dla Iranu, pozycjonującego się po 1979 r. jako światowy biegun antyamerykanizmu, taką samą miarą analogii do „metafizycznego dobra” jawi się lojalność wobec Palestyny i sprzeciw wobec Izraela.

Czy można na podstawie takich przesłanek na serio rozpatrywać jakieś partnerstwo Rosji i Iranu, nie mówiąc już o sojuszu? Tym bardziej, kiedy przywództwo Rosji daje do zrozumienia, że przyjaciele Izraela są przyjaciółmi Moskwy!

Świat polityki wie doskonale, że (obok Rosji) dzisiejszy

Izrael ma tylko dwóch działających sojuszników: Egipt pod przewodnictwem wojskowej junty z Al-Sisi na czele i Arabię Saudyjską (Stany Zjednoczone na czas prezydentury Baracka Obamy póki co wypadły z tego „zaszczytnego” grona).

Oto prezydent Putin jedzie z niezwykle uroczystą wizytą do absolutnie nielegalnego dyktatora stojącego na czele junty i daje mu automat kałasznikowa w podarunku. Ten tyran dopiero co kazał wykonać wyroki śmierci wydane przez „małpi sąd”[1] na setkach działaczy partii politycznej, którą siłą odsunięto od władzy, pomimo że zdobyła władzę w drodze legalnych wyborów. Junta ogłosiła Palestyńczyków swoimi największymi wrogami. Egipcscy „siłowicy” prowadzą walkę zbrojną ze znękaną Strefą Gazy. W kraju faktycznie zaczyna się wojna domowa. Na tym tle prezydent Rosji, który często wspomina o „nielegalnej juncie kijowskiej”, daruje śmiercionośną broń liderowi jeszcze bardziej nielegalnej i w istocie kryminalnej bandy. Jaki jest sens tego podarunku ? Tylko taki: Popieramy wasze krwawe bezprawie w stosunku do tych przeklętych islamistów. Szlachtujcie ich nadal, tylko jeśli to możliwe, na uboczu. A my, jakby co, udzielimy pomocy technicznej.

Nie na darmo Carl Bildt, premier Szwecji, która jako pierwsza uznała państwo palestyńskie, napisał ma swoim Twitterze, że jest to „bardzo symboliczny podarunek”.

Co do Arabii Saudyjskiej, kraju z którym Rosja ma wiele niezłatwionych spraw i problemów, to też sprawa nie jest taka prosta. Jakiś czas przed aneksją Krymu, a nawet jeszcze przed olimpiadą w Soczi, na Kremlu pojawił się szef wywiadu Arabii Saudyjskiej, książę Bandar Bin Sułtan. Na użytek publiczny wypuszczono opowiastkę o bardzo nieprzyzwoitym sensie wizyty „rozpasanego” i „całkiem schamiałego” księcia. Rzekomo żądał on, żeby prezydent Rosji zrezygnował z popierania Baszara Asada oferując w zamian gwarancję bezpieczeństwa olimpiady w Soczi. Ponoć książę „zerwał się z uzdy” i niczym uliczny łotrzyk, wzięwszy się pod boki szantażował Putina czeczeńskimi bojownikami, którzy ponoć są na smyczy, a smycz tę trzyma on

sam. Gdy zechce, spuści ze smyczy terrorystów, a oni sprawią, że wybrzeże czarnomorskie spłynie krwią w apogeum sportowego święta, nie zechce, „jeśli dojdzie do porozumienia” i nie spuści ich ze smyczy.

Coś tu podpowiada, po przemyśleniu rzeczy, że ta jaskrawa i przekonująca wersja dopuszczona do opinii publicznej jest zasłoną dymną, za którą obie strony ukrywają prawdziwy cel spotkania. Jest nie do pomyślenia, by Saudyjczycy faktycznie mogli szantażować Putina „Emiratem Kaukazu”. Nie tylko im, ale i służbie bezpieczeństwa Rosji, i w ogóle jakimkolwiek spec służbom na świecie doskonale wiadomo, że Saudyjczycy nie mają praktycznie żadnego wpływu na żadne organizacje „dżihadistowskie”. Nie mówiąc już o tym, że szantaż tego rodzaju byłby równoznaczny z wypowiedzeniem wojny. Rijad dobrze rozumie, że państwo syjonistyczne w ogóle nie popiera natychmiastowego odsunięcia Assada ze sceny politycznej. A stanowisko Izraela jest obecnie dla Królestwa Arabii Saudyjskiej ważniejsze niż jakiekolwiek inne.

Znaczenie spotkania polegało na roboczych umowach między Moskwą i Rijadem. Pierwsza z nich oznacza utajnione antyirańskie stanowisko Rosji wobec rozmów w sprawie programu jądrowego Iranu. Inaczej mówiąc, Arabia Saudyjska w osobie Bandara potwierdziła gwarancje Kremla, że Rosja nie porzuci platformy, na której są pozostali uczestnicy rozmów 6+1. (Nawiasem mówiąc, to, że rosyjskie stanowisko w tych rozmowach, jeśli odsunąć na bok retorykę, zasadniczo nie różni się od amerykańskiego, dziś już jest oczywiste dla wszystkich, oprócz szczególnie upartych optymistów co do kwestii zbliżenia rosyjsko-irańskiego).

Oddzielny temat starań Saudów to zapobieżenie poważnym dostawom do Iranu zwykłej broni i technologii. Szczerze mówiąc, niczego w tej dziedzinie Rosja Iranowi nie dostarcza!

Na koniec, szczególna sprawa, którą podnieśli Saudowie: neutralizacja geopolitycznej aktywności R. Erdogana w kwestii

projektu „neoosmańskiego”. W pewnym sensie Turcja jest dla Królestwa Arabii Saudyjskiej bardziej niebezpieczna niż Iran. Arabska monarchia bardzo dobrze rozumie, że od Iranu nie można oczekiwać gwałtownych posunięć. Ile by nie dyskutowali zaangażowani „eksperci” o jakiejś nieprzewidywalności „reżimu ajatollahów”, jest jasne, że każdy krok irańskich klerykałów jest dziesięć razy bardziej przewidywalny niż prezydenta F. Hollande’a czy B. Obamy (wystarczy pomyśleć o losie „Mistrali” lub o tym, jak laureat Pokojowej Nagrody Nobla obszedł się ze swoim programem wyborczym).

Co do współczesnej Turcji, to w odróżnieniu od Iranu, jest to państwo tradycyjnie skłonne do ryzyka. Turcja ma swoje powiązania ze środowiskiem radykalnych sunnitów, a Iran właściwie nie ma nikogo, oprócz Hezbollahu i jemeńskich Huti, co stanowi nieporównywalnie mniejsze zagrożenie dla dynastii Saudów. Turcja jest w sojuszu politycznym z Ichwani, którzy dla Saudów są kimś takim, jak trockiści dla Stalina.

Wpłynąć na Erdogana, by zmniejszył swoje ambicje w stosunkach z krajami Zatoki Perskiej mógł tylko Putin. I on to zrobił, obiecując, że rosyjski gaz popłynie do Turcji zamiast „Gazociągami Południowym”.

Nawiasem mówiąc, jakoś nic Erdogan nie mówi na temat smutnego losu Tatarów krymskich pod rosyjską władzą...

Faktem jest, że na Bliskim Wschodzie powstał, (jeszcze nie tak widoczny, ale tym niemniej już istnieje) geopolityczny „kwadrat”. Wchodzi do niego Izrael, Federacja Rosyjska, monarchia Saudów i nielegalna junta marszałka Sisi, który ma ręce unurzane we krwi egipskich muzułmanów i Palestyńczyków w Gazie. Ten „kwadrat” jednoznacznie przeciwdziała polityce prowadzonej przez lewe skrzydło Departamentu Stanu USA pod przewodnictwem Obamy. Ten ostatni jest takim samym osobistym, emocjonalnym przeciwnikiem Netanjahu, jak Putin –jego przyjacielem (stosunki osobiste nie zawsze, ale często odgrywają decydującą rolę na szczycie politycznego Olimpu).

Wszystkie strony stanowiące ów „kwadrat” najwidoczniej oczekują powrotu „neokonsów” w osobie Jeba Busha do światowej polityki i stawiają na to, że ten powrót jest nieunikniony. Wraz z trzecim Bushem przyjdzie odbudowa w pełnym zakresie ekskluzywnej przyjaźni z Izraelem, zniesienie sankcji dla Rosji, uznanie krwawej junty kairskiej i restart mocno nadwyreżonych stosunków amerykańsko-saudyjskich. W każdym razie, kraje „kwadratu” liczą na taki właśnie obrót wydarzeń.

Jasne jest, że dla Iranu scenariusz ten jest absolutnie niekorzystny. Szansa Teheranu na polityczny wyłom była związana z figurą Baracka Obamy w Białym Domu. Gdyby nie pierwszy w historii USA afroamerykański prezydent, nie byłoby sensu wybierać na prezydenta Iranu Hassana Rouhaniego. Najważniejsze, jeśli nie jedyne zadanie tego ostatniego to możliwie największa minimalizacja sankcji przed końcem kadencji Obamy.

Wszystkie wymienione aspekty rozdzielające Iran i Rosję w rzeczywistości są konsekwencją systemowego przeciwieństwa w organizacji społeczeństwa i ustroju politycznego tych krajów. Iran od rewolucji islamskiej 36 lat temu stał się pierwszą jaskółką „ Klubu Tradycjonalistów”, który powrócił na scenę po 34 latach (od 1945 r.), globalnego panowania liberałów. W wyniku tej rewolucji do władzy w jednej z najstarszych cywilizacji świata doszli tradycjonaści, którzy faktycznie godzą ezoteryczną „ukrytą” starszyznę z zewnętrznym „kościelnym” klerykalizmem. Duchowieństwo w Iranie wzięło na siebie odpowiedzialność na polityczny kurs kraju, czego w Europie nie było od czasów kontrreformacji. Narodową biurokrację irańską w pełni kontrolują klerykałowie, a okoliczność ta jest sednem organizacja tego państwa.

Co do Rosji, to jest ona lustrzanym przeciwieństwem Iranu. Była radziecka partiokracja, przyjąwszy na pokład element kryminalny, spekulantów i czarnorynkowych „cechowników” uległa transformacji w biurokrację nowego typu –niezależną korporację o międzynarodowych ambicjach, lecz bez międzynarodowego

autorytetu. Właśnie ta biurokracja twardo rządzi tymi, którzy grają rolę „klerykałów”, postmodernistycznego ekwiwalentu „cerkwi”.

Możliwość jakiegokolwiek porozumienia między tymi dwoma systemami zorganizowanymi w podobny sposób jest dziś jeszcze mniejsza, niż szansa na wzajemne zrozumienie między imamem Chomeinim i Michaiłem Gorbaczowem w epoce znanego listu ajatollaha do radzieckiego prezydenta[2].

Wielu analityków podchodzących do problemu stosunków rosyjsko-irańskich z pozycji patriotycznych lub patriotyczno-pragmatycznych pozwala sobie na dozę umiarkowanej krytyki, narzekając na to, że niby Moskwa nie ma wypracowanej strategii odnośnie południowego sąsiada, tak ważnego dla geopolitycznej stabilności Federacji. Może się im wydaje, że krytyka ta jest śmiałym posunięciem!

Jest to błąd. Moskwa ma przemyślaną strategię. Polega ona na tym, żeby polityczny establishment Iranu wodzić za nos, podsuwając mu iluzję możliwego partnerstwa, złudne oczekiwania korzyści gospodarczych związanych ze wspólnymi projektami... Najbardziej niebezpieczne dla Iranu jest poczucie bezpieczeństwa ze strony rzekomo przyjaznej orientacji Moskwy odnośnie Iranu. Niby to Moskwa popiera Assada, który z pewnych (zresztą drugorzędnych z politycznego punktu widzenia) przyczyn stał się dla irańskiej dyplomacji nieprzekraczalną „czerwoną linią”. Niestety, to poparcie ze strony Kremla niczego Iranowi nie gwarantuje, a jest związane z interesami Izraela, dla którego ostateczny upadek Damaszku będzie oznaczał przejście do totalnej wojny z islamską ulicą.

Do tej pory Rosji udawało się „wodzić za nos” przywództwo polityczne Islamskiej Republiki Iranu. W Iranie jest rzecz jasna partia antymoskiewska, jej głos czasem słychać dość wyraźnie. Jednak po pierwsze, partia ta ma zupełnie nieprawdziwe wyobrażenie tego, czym w samej rzeczy jest Rosja dla Iranu, dla Zachodu i ogólnie, dla całego świata. Po

drugie, ten antymoskiewski głos stanowi margines, główny nurt mimo wszystko stanowi pragnienie przywództwa Iranu, by opierać się na sojuszu z Rosją.

Im szybciej Iran zrozumie najważniejsze rozbieżności blokujące takie oczekiwania u samych podstaw, tym lepiej Teheran będzie mógł skorygować swój kurs.

Autorstwo: Gejdar Dżemal

Tłumaczenie: Maria Walczak

Źródło oryginalne: poistine.org

Nadesłano do „Wolnych Mediów”

PRZYPISY

[1] Wyrażenie oznaczające sąd wydający z góry wiadomy wyrok, z rosyjskiej bajki Majkowa (przyp. tłum.).

[2] Chodzi o list Chomeiniego do Gorbaczowa, który możecie znaleźć tutaj: <http://xportal.pl/?p=12467>.